Kraków, 4-go Lipca 1908 r.

Rok 4. Nr. 14.

Dzwonek.

Gazetka dla dzieci.

Dodatek do Nr. 27 „Prawdy."

O niepoczciwej pokrzywie.

(Dokończenie).

Pokrzywa to jeszcze daleko gorsza niż dziecko uparte, niechcące przeprosić gdy co złego zrobiło. I ta pokrzywa nawet ludziom nie darowała, kto tylko się zbliżył do niej, uciekał czemprędzej. Z każdym dniem stawała się nieznośniejsza. Skończyło się na tem, że wszystkie kwiatki odsunęły się od niej, został tylko kolący oset i jakiś brzydki łopuch. Te się nikogo nie boją.

I znowu musiała żyć osamotniona, niecierpiana jak na wygnaniu. Ani motylek, ani biedronka, ani pszczółka, ani nawet osa nie przelatywały koło niej. Każdy wolał drogi nałożyć, byle na nią nie spojrzeć. Kwiatki co rano mówiły sobie „dzień dobry" — chwaliły się, że wybornie spały, że się napiły rosy słodziutkiej, a do niej nikt słówka nie zagadał. A głucha pokrzywa to aż raki piekła gdy się kto spytał: „czy to blizka krewna pani, ta niedobrą osoba, co mieszka po drugiej stronie grządki, między ostem a łopuchem?"

Po jakimś czasie słońce ślicznie świeciło, kwiatki pachniały, wiśnie dojrzewały, ptaszki śpiewały, a pokrzywie coraz bardziej się przykrzyło na wygnaniu. Już nie mogła wytrzymać dłużej i myśląc, że jej to co pomoże, postanowiła szukać innego mieszkania. Zła była na motylka, że ją przed wszystkiemi kwiatkami obmówił i gdyby go tylko złapała, miałby się z pyszna.

„Trudna rada, trzeba się przenieść daleko, daleko, w inną stronę ogrodu, gdzie może nie słyszano o mojej awanturze z pszczołą, — rzekła sobie i powędrowała znów nocą gdzie oczy poniosą. Zaszła na śliczny trawnik, w środku którego rosły piękne kwiaty ułożone w deseń niby dywan. „Tu mi będzie doskonale, — rzekła do siebie i wpakowała się między te kwiatki. Kwiatki pobudziły się zaraz po wschodzie słońca, bo kwiatki lubią raniutko wstawać. Patrzą co to za gość jakiś nieznajomy, aż tu jakiś kwiatek jak nie krzyknie: chwast! chwast! słabo mi...

Strach ogarnął i inne kwiatki; nuż się tulić jedne do drugich, pochowały główki między liście i szepcąc sobie coś do ucha, zamykały czemprędzej kielichy. Zdawało im się, że przebrzydła pokrzywa zaraz je pozabija. A pokrzywa tymczasem jeszcze gorzej się bała niż one.

„Ach to takie wielkie państwo, — myślała — a ja proste pospolite zielsko; pewno mnie stąd wraz wypędzą. I zgięła się we dwoje, opuściła gałązki do ziemi, udawała zwiędłą, żeby jej tylko dano spokój. Z godzinę tak siedziała skurczona i tylko spoglądała z ukosa co kwiatki robią. Widząc jednak, że cały kwietnik jakiś nieswój, kwiaty wylękłe, onieśmielone, rozzuchwaliła się, zadarła głowę, wyprostowała gałęzie i zaczęła patrzeć na całe towarzystwo z góry, jakby na swoich niewolników. Mało jej tego było. Wkrótce szturchnęła jeden kwiatek, drugi, a widząc, że się nie bronią, zaczęła na nie krzyczeć, łajać, rozpychać je, dawać im klapsy. Wtem nadszedł ogrodnik. Zaglądał on codziennie z rana do swoich kwiatków, bo je bardzo kochał a wieczorem, gdy ziemia była sucha, podlewał je wodą. Odrazu spostrzegł, że się coś złego dzieje.

„Moje kwiateczki, cóżeście takie smutne, czy przeczuwacie burzę, żeście tak główki pospuszczały? A to co nowego? pokrzywa tutaj? A ty nic dobrego! Kto cię tu wpuścił? Wynoś mi się stąd, czy słyszysz? Znam ja cię, coś ty za jedna; my tu nie potrzebujemy złośników i samolubów. Moje kwiatki żyją w zgodzie, kochają się, nie dokuczają sobie nigdy, mogłyby się jeszcze czego złego nauczyć od ciebie. No marsz!“

Chwycił ją ręką za łodygę, bo nie chciała go usłuchać dobrowolnie. „A ty paskudo! jeszcze mnie parzysz? myślisz, że się ciebie zlęknę, że mnie zabijesz tak jak tę biedną pszczółkę? Masz za swoje!“ Szarpnął pokrzywę raz i drugi, i wyrwał ją z korzeniem, rzucił ją pod płot i tam umarła. Szkoda, że pokrzywa naparta, i że nikt ją nie nauczył, że gdy się coś złego zrobi, to najlepiej przeprosić, obiecać — już nigdy i nigdy więcej tego nie zrobię! I kwiatki byłyby jej darowały, i motylek by ją polubił i pszczółki by zapomniały, że jedną z nich pokąsała, gdyby już potem była zawsze dobra.

Wiemy dobrze, wiemy, ty niegrzeczne ziółko,
Jak źle postąpiłaś z biedną małą pszczółką
Dziś nikt cię nie kocha, smutno ci pokrzywo?
Przyjmij dobrą radę, popraw się co żywo.

Żywoty Świętych chłopców.

Święty Justyn.

Kiedy znany z dziesiątego prześladowania chrześcian syn niewolnika w domu senatora Anulia, mieszkaniec ubogi z Dyoklei w Dalmacyi, z wodza wojsk cesarskich okrzyknięty został cesarzem rzymskim i pod nazwiskiem Dyoklecyana całym nieomal światem ówczesnym władał, urodził się tamże niejakiemu Mateuszowi drugi syn, któremu na chrzcie św. dał imię Justyn. Był on pociechą prawdziwą stroskanym rodzicom po stracie pierwszego syna, którego Justyn nawet nie widział, bo nie był wtenczas jeszcze na świecie, gdy go do wojska zabrano. Już w niemowlęciu okazywał Bóg, że Justyna obrał sobie za naczynie szczególniejszej łaski swej: bo uśmiech anielski, cichość baranka, cierpliwość i powolność nadzwyczajna znamionowały go przy piersiach matki. Składanie rączek drobniuchnych jakby do pacierza, patrzenie w niebo i uśmiechanie się przytem, sięganie rączką do wizerunku Zbawiciela ukrzyżowanego i całowanie tegoż, były najczęstsze poruszenia jego w niemowlęctwie.

Rodzice z swej strony dokładali wszelkiego starania, aby serce syna swego do przyjęcia coraz większych łask Bożych przysposobić mogli. Im bardziej atoli Justyn wzrastał w lata i pobożność, tem bardziej pomnażał się smutek jego rodziców. „Gdzie tam się znajduje teraz kochany nasz Justynian? mawiali sobie; może głód i nędza przy ciężkiej pracy ostatnie mu siły zabierają; może też pochlebstwa i rozkosze światowe dawną pobożność w nim zachwiały, lub wiarę całkiem mu wydarły.“

Słyszał te narzekania nieraz Justyn, łączył sam częstokroć swoje łzy z łzami rodziców, lubo nigdy nie widział tego, którego opłakiwał; ale dość mu było wiedzieć, że to brata jego opłakują, a opłakują rodzice. Mógł mieć około lat dziesięciu, kiedy nadzwyczajna tęsknota za bratem serce jego ogarnęła. W każdej modlitwie, w każdem westchnieniu do Boga nie odstępowała go odtąd myśl o Justynianie. Zaczął tedy gorąco błagać Wszechwiedzącego, aby mu jakimkolwiek sposobem raczył objawić, gdzie się brat jego znajduje, iżby go mógł poszukać, rodzicom oddać, a tem samem ostatnie dni życia ich doczesnego osłodzić.

„Pasterzu dobry! — modlił się pewnego razu — pasterzu dobry, który dziewięćdziesiąt dziewięć owiec opuszczasz, a zabłąkanej setnej szukasz, wskaż nam knieje i lasy, w których się owieczka twoja, Justynian, zabłąkał, abyśmy go z pośród wilków wydarli i w Twojej owczarni zdrową paszą nauki Twej i Sakramentów św. karmili. Dozwól, aby rodzice moi zachwianą wiarę i cnotę w nim odnowić i ustalić mogli.“

Tak modlił się odtąd codziennie, tak błagał Boga nieustannie, dopókąd go nie wysłuchał. Jeżeli bowiem czasem w tej modlitwie ustawał, jeżeli wątpliwość jaka wiarę w nim osłabiać chciała, pokrzepiał się młody Justyn obietnicą Zbawiciela: proście a otrzymacie, szukajcie a znajdziecie, pukajcie a będzie wam otworzono. Zachęcał się do wytrwania w tym rodzaju modlitwy podobieństwem o przyjacielu, który w nocy pobiegł do sąsiada i prosił go o pożyczenie mu chleba, a prędzej od domu jego nie odstąpił dopókąd ten z łoża nie wstał i zażądanego chleba mu nie

dał. Zachęcał się tą mocną wiarą, że Ojciec niebieski nie może odrzucić modłów dzieci swych, skoro je tak bardzo ukochał, iż nawet Jednorodzonego Syna Swego dla ich zbawienia na świat zesłał; skoro ojciec ziemski, sam będąc złym i grzesznikiem, dobre dary dziatkom swoim daje, skoro ojciec ziemski nie daje dziecku swemu kamienia, kiedy go prosi o chleb, ani węża, kiedy go prosi o rybę, ani jadowitego niedźwiadka, kiedy go prosi o jaje.

I w rzeczy samej, gorąca i nieustanna modlitwa Justyna nie została bezskuteczną: bo objawił mu Bóg, że brat jego znajduje się w niewoli u pewnego Lupusa w mieście Amię.

Uradowany Justyn biegnie z tą wieścią do ojca i błaga jak najusilniej, aby jak najprędzej syna z niewoli wykupił. Mateusz kazał sobie kilka razy widzenie Justyna powtórzyć, zastanawiał się dokładnie nad jego szczegółami, czy też bujna wyobraźnia syna we śnie o tem nie marzyła, o czem na jawie ciągle wspominał. Po długich i kilkakrotnych rozważaniach tego objawienia odzywa się nakoniec Justyn:

„Drogi ojcze! puśćmy się w podróż pod strażą i opieką Chrystusa Pana, który nie dopuści, abyśmy ją daremnie i bez skutku pomyślnego przedsięwzięli. Mam mocną wiarę i niczem niezachwianą nadzieję, że nas nic złego nie spotka.“

„Ja, jako mąż — odpowiedział Mateusz — dostateczną czuję jeszcze w sobie siłę do podjęcia tak dalekiej podróży; ale ty, mój synu, jesteś za młody i zbyt słaby, iżbyś trudy i znoje takiej podróży mógł przetrzymać.“

„Jestem prawdziwie młody i słaby — zawołał z boleścią serca i głosem błagalnym Justyn — ale jestem pomimo to sługą Chrystusa, i jak się jego opiece i pomocy oddawać nawykłem, podobnież i w podróży uczynię, a On mię nie opuści. Idźmyż tedy ojcze w imię Boga i Jemu całą podróż naszą polećmy.“

Zezwolił nareszcie Mateusz po długich prośbach i naleganiach na to, iż młody Justyn miał mu towarzyszyć do

Amię. A kiedy już wszelkie przygotowania do tej podróży poczynione były i pieniądze na wykupienie Justyniana zabrano, pożegnali się z domownikami i opuścili mury miasta Okser. (Ciąg dalszy nastąpi.)

MYSZKA.

„Luty, luty, wkładaj buty,
Bo dziś zimno przecie".
Jakżebym ja, myszka mała,
Takie butki włożyć chciała,
Choć raz na tym świecie!

Pozłacane, zapinane,
Na me tylne nóżi,
A na przednie, rękawiczki
Zapinane na guziczki,
Jak u panny Muszki.

Z kokardami, z falbanami
Sukienka w paseczki,
Jakby pięknie mię stroiła!
Każda mysz by zazdrościła
Prócz mojej mateczki.

I spacerkiem, przed lusterkiem
Chodziłabym sama,
A każdyby przyznał chętnie,
Że wyglądam tak ponętnie,
Jak prawdziwa dama.

Nuż z krygami i minami
Tańczyć przed swą norą.
— Ej, pamiętaj myszko płocha,
Kto się w lustrach, strojach kocha.
Tego koty biorą!

Przyciszony, zaczajony,
Widzi cię kot bury!
Już do skoku łapkę wznosi,
„Ach uciekaj!" — matka prosi,
„Uciekaj do dziury".

Matka rzekła, więc uciekła
Córka na czas jeszcze

I to szczęście, bo kocisko
Było już tak myszki blisko,
Że aż biorą dreszcze!

Teraz w norze, już w pokorze
Słucha przestróg matki:
Nie ten najszczęśliwszy w świecie,
Kto ma lustra, stroje, kwiecie,
Wstążki i krawatki.

Ach, jak blisko, moja myszko
Byłaś srogiej śmierci!
Gdybyś długą suknię miała,
Jużbyś nieżywa leżała,
Rozdarta na ćwierci!“

W. Hozerowa.

Świętojańskie robaczki.

Dwoje drobnego rodzeństwa, Romanek i Ewunia, wracając wieczorem z ojcem z przechadzki, ujrzeli w trawie po raz pierwszy świecącego świętojańskiego robaczka.

— Ach, ojcze! — zawołał Romanek — co to tu się tak świeci?

— To pewnie będzie piękny brylant — dodała Ewunia — musiał go kto zgubić.

I ucieszone dzieci schyliły się, by podnieść ów mniemany drogi kamień. Lecz jakież było ich zdziwienie, gdy nagle w tem miejscu światełko zagasło, a natomiast w innych miejscach dostrzegli więcej takich jasnych punkcików.

— To widocznie nie mogą być brylanty — rzekł bystry Romanek — ale co by to być mogło?

— Masz słuszność — odezwał się teraz ojciec — to nie są brylanty, ale maleńkie owady, zwane świętojańskiemi robaczkami, które Bóg obdarzył taką cudowną własnością, że mogą świecić, kiedy tylko zechcą. Mają one na sobie jakby szybki, przez które jasność wydają. Zabiorę jednego z sobą i wam to pokażę.

— A czemu te owady nazywają się świętojańskiemi robaczkami? — spytała zaciekawiona Ewunia.

— Widzicie — począł ojciec — tak je nazywają dla tego, gdyż one najwięcej świecą latem około św. Jana; ale lud powstanie tej nazwy odnosi do pięknej legendy o św. Janie.

— Ach, drogi ojcze, opowiedz nam tę legendę o tych robaczkach! — zawołały równocześnie zaciekawione dzieci.

— Bardzo chętnie ją wam opowiem, ale wpierw musicie mi odpowiedzieć, kto był Jan św.?

— Jan św. był Chrzcicielem Pana Jezusa — zawołały razem — mama nam opowiadała o chrzcie Pana Jezusa.

— No, kiedy wiecie, kto był Jan św., — to wam teraz opowiem legendę o nim.

— Jan św. był bardzo pobożny już od najpierwszej młodości. Jako małe pacholę, spędzał długie godziny na modlitwie. Często wybiegał w samotne miejsca, by mu nikt nie przeszkadzał w modlitwie. Razu jednego poszedł w pobliskie góry i tam tak żarliwie i długo się modlił, iż ani spostrzegł, że się noc zbliżyła; a gdy chciał powrócić do domu, napróżno szukał w ciemności drogi. — Ach, — biadał sobie — matka będzie mnie wszędzie szukała i bardzo się o mnie będzie kłopotała. Boże Wszechmocny! wyprowadź mnie na drogę! I ledwo tych słów domówił, Pan Bóg sprawił, iż po lewej i prawej stronie zabłysły dwa rzędy tych robaczków i tak mocno świeciły, że św. Jan trafił na drogę i powrócił do domu.

— Ach, co za śliczna legenda! zawołała Ewunia. Jaki Pan Bóg dobry, że w taki cudowny sposób zaprowadził św. Jana do domu.

— A wiecie wy, dla czego go Pan Bóg wysłuchał?

— Bo Jan św. był dobry i pobożny — odpowiedział Romanek.

— Tak jest, moje dzieci. — Bóg dobrych dzieci zawsze wysłucha.

— Ojcze! — zawołały po chwili, idąc obok ojca — my też będziemy dobrzy i modlić się będziemy, to nas Bóg zawsze wysłucha i z nieszczęścia wybawi.